



Miałem 16 lat i 5 miesięcy w chwili, gdy z domu gestapo zabrało mnie z domu do więzienia w Tarnowie. Było to 3 maja 1940 roku. Było nas wtedy sześcioro rodzeństwa domu. SS-mani, którzy przyszli po mnie do domu byli wręcz zaskoczeni moim wiekiem. Nigdy bym nie przypuszczał, że do domu wrócę dopiero po 5 latach. Gestapowcy zaprowadzili mnie na posterunek policji. Tam już czekali przyprowadzali innych moich kolegów. Ja byłem w mundurze harcerskim, z tego powodu postawili mnie pod murem, z rękami wyciągniętymi do góry. Czekałem tak do momentu przesłuchania. Przesłuchanie trwało krótkie i rzeczowe. Zostały na nim spisane wszystkie podstawowe dane na mój temat. Po jego odbyciu zawieziono nas w 20 osób do więzienia w Tarnowie. Dopiero później dowiedziałem się, że bezpośrednim powodem naszego przesłuchania był fakt, że Niemcy obawiali się z naszej strony ewentualnych manifestacji związanych z przypadającym w dniu 3 maja świętem narodowym. Do Tarnowa przywieziono nas właśnie w tym dniu - 3 maja 1940 roku, bezpośrednio z Brzeska. W celi siedziałem w czwórkę ze starszymi mężczyznami. Tam właśnie dostarczono mi mundur gimnazjalisty, który niezwłocznie ubrałem, odsyłając mundur harcerski do domu. W celi tarnowskiego więzienia siedziałem tam aż do 13 czerwca. Przez tych kilka tygodni nie wezwano mnie ani razu na przesłuchanie. Tego dnia zawieziono nas do miejskiej łaźni gdzie pilnowała nas spora grupa strażników. Spędziliśmy tam całą noc. O 6:00 rano wyprowadzono nas, ustawiono w szereg i ulicami Tarnowa prowadzono nas na dworzec towarowy. W drodze mieszkańcy Tarnowa obserwowali z ukrycia zaistniałą sytuację. Na bocznicę stał pociąg, do którego niezwłocznie załadowano. Wczesnym porankiem pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Na dworcu w Krakowie przywitała nas smutna okoliczność. Niemcy właśnie świętowali zdobycie Paryża. Po dwóch - trzech godzinach pociąg zatrzymał się. Następnie ponownie ruszył, po to by za kilkanaście minut znowu się zatrzymać. Drzwi się otworzyły z jednej strony,

wysiadaliśmy z niego pośród bicia i krzyku kapów, którzy czekali na przybycie pociągu. W tym momencie prysły wszystkie moje nadzieje związane z celem naszego "wyjazdu". Wielu z nas zostało wtedy brutalnie pobitych, potraktowano nas jak zwierzęta. Staliśmy na placu wydzielonym przed nieznanym nam budynkiem, do momentu, dopóki wszyscy nie wysiedli i nie zostali przeliczeni. Po kilkunastu minutach Niemcy pośpiesznie ustawili dwuszereg, przez który przepędzono nas w szybkim tempie. Zostaliśmy wówczas brutalnie pobici przez rozwścieczonych hitlerowców, którzy nie szczędzili razów drewnianymi pałkami. Kolejnym punktem naszego "przywitania" było przywitanie przez kierownika obozu. Podłamało ono wielu z nas. Powiedziano nam wtedy, że "jedynym wyjściem z tego obozu jest droga przez komin krematoryjny". Nie wiedzieliśmy, co myśleć, nie wiedzieliśmy jak otrząsnąć się z tego, wydawać by się mogło, koszmarnego snu. To jednak nie był sen, to była brutalna rzeczywistość, wobec której byliśmy coraz bardziej bezradni. I to ona nie pozwoliła nam na zbędne rozmyślanie. Następnie wzięto nas do piwnicy dwupiętrowego budynku, gdzie zostaliśmy spisani, a każdy z nas dostał dwa czerwone trójkąty z przydzielonym numerem. Od tej pory straciłem nazwisko. Nie byłem Kazimierzem Zającem - stałem się numerem 261. To był jeden z najsmutniejszych mojego życia.